

Mysł Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 231 (Rok XIII, Nr 17)

15 września 1953

Cena (Price) 1/6

ZWYCIĘSTWO ADENAUERA

GDY Francja i Włochy pogrążone są w bezwładzie politycznym i rozsadzane przez potężne pięte kolumny komunistyczne, Niemcy zachodnie dają budujący obraz „working democracy”. Jedyny to w Europie duży kraj o gospodarce opartej na wolnej inicjatywie kapitalistycznej, odbudowujący się i rozbudowujący w dużym tempie, kraj gdzie warto inwestować i gdzie jest z kim się umawiać, gdzie ludzie chcą i umieją pracować. Takie musi być przynajmniej wrażenie przeciętnego Amerykanina.

Wrażenie to zostało niewątpliwie pogłębione przez wynik ostatnich wyborów do parlamentu federalnego (także miłe dla Amerykanów słowo) w Bonn. Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna uzyskała w wyborach wolnych i proporcjonalnych bezwzględnie większość mandatów. Adenauer ma na kilka lat wyraźny mandat od narodu do prowadzenia polityki, ma zatwierdzenie dotychczasowej linii.

Komuniści i neohitlerowcy nie uzyskali ani jednego mandatu. Inne grupy o zabarwieniu szowinistycznym lub neutralistycznym wyszły z bardzo nielicznymi reprezentacjami. Jedyną poważniejszą siłą opozycyjną pozostaje Socjaldemokratyczna Partia Niemiec dysponująca około 30% mandatów.

Wybory wrześniowe znakomicie umacniają pozycję międzynarodowego rządu zachodnio-niemieckiego.

Wygląda na to, że naród niemiecki po raz pierwszy od bardzo dawna wykazywać zaczyna zdrowy rozsądek i tak zwany instynkt polityczny. Przyczyny zwycięstwa dra Adenauera nie należy się jednak

doszukiwać tylko w mądrości politycznej społeczeństwa niemieckiego.

Pierwszą przyczyną jest, że przeciętny Niemiec ma się lepiej niż za Republiki Weimarskiej czy nawet za Hitlera, nie mówiąc już o latach wojennych. Adenauer, to amerykańska pomoc, brak ciężarów wojskowych, praca i dobre jedzenie. Następnie masom w ogóle, a masom niemieckim w szczególności, więcej mówi nazwisko niż program. Adenauer, od śmierci Schumachera, nie ma przeciwnika na swoją miarę. Dalej Niemiec ma przed oczami wciąż ponury los swoich rodaków ze wschodnich Niemiec i wie, że przed tym losem broni go cień potęgi amerykańskiej. Najlepiej widziany przez Amerykanów polityk wydaje mu się najpewniejszy. Choć zdolny do wybuchów megalomanii narodowej na codzień nie ma dumy Hiszpana i pilnie słucha, co mu doradzają silni tego świata.

Pocieszającym dla nas zjawiskiem jest niepowodzenie partii uchodźców. Choć uzyskała ona z listy państwowej (bo nie z okręgów) ponad dwadzieścia miejsc w nowym parlamencie, zebrała głosy zaledwie jednej trzeciej wyborców-uchodźców. Większość przybyłych ze wschodu widocznie już nie stawia swej odrębności regionalnej ponad przynależność lokalną w nowym kraju i związki ideowe. Wielu nawet nie lubi by im przypomniano, że przybyli dopiero przed kilku laty z nieco pogardzanego wschodu „gdzie lisy mówią sobie dobranoc”.

Kontrast między politycznym i gospodarczym ładem Niemiec, a politycznym i gospodarczym bezładem Francji i Włoch stwarza sytu-

ację niebezpieczną w polityce międzynarodowej. Coraz to zwiększa się niebezpieczeństwo, że Ameryka w Europie stawiać będzie na Niemcy bardziej niż na jakikolwiek inny naród. Gdyby szło w tym kierunku, musi to wywołać reakcję innych narodów europejskich, z których liczy się w tej chwili naprawdę tylko Anglia.

Nie ułatwia to bynajmniej i tak trudnej polityki polskiej na emigracji. Frontem zwrócona przeciw okupującym Polskę Sowietom, nie może ona tracić z oczu niebezpieczeństwa kryjącego się we wzrastaniu pozycji niemieckiej po tej stronie żelaznej kurtyny. Niebezpieczeństwo jest trudniejsze do parowania, że w osobie Adenauera Niemcy mają po raz pierwszy od czasów Bismarcka taktownego szefa rządu.

SKUTKI ROZRUCHÓW

Prasa wschodnio-niemiecka ciągle jeszcze ogłasza wyroki więzienia na uczestników antykomunistycznych zająć z 17 czerwca. Prasa ta także wspomina stale wizytę rządu wschodnio-niemieckiego w Moskwie, podczas której podpisano układ mający wzmocnić prestiż administracji Piecka i Grotewohla, a także dokonano nowego wybuchu atomowego jak gdyby dla pokazania Niemcom i drugiego końca sowieckiego kija.

Rozruchy z 17 czerwca bardzo poważnie odbiły się na umysłach niemieckich, wywołały również echa w całym świecie. Powstaje pytanie, jak dalece pomogły one samym Niemcom?

W Moskwie wywołały one popłoch i prawdopodobnie przyczyniły się do szybszego rozstrzygnięcia losów Berii, a przez to do szybszej konsolidacji wewnętrznej na Kremlu. W samej Nie-

mieckiej Republice Demokratycznej, czyli we własnej strefie okupacyjnej Sowiety siłą utrzymały istnienie rządu marionetkowego. Krótko można powiedzieć: rozruchy wywołały represje i utrwaliły reżim.

W świecie zachodnim rozruchy są dyskutowane po dziś dzień w formie pytania „Czy można odsunąć lub powstrzymać Sowiety przez powstania na ich terenie?”.

Skutki dla świata zachodniego będą dodatnie na krótką metę, co zaś stanie się potem, nie wiadomo. Można przypuszczać, że osłabienie żywiołów antykomunistycznych może postawić pod znakiem zapytania trwałość dalszego oporu. To rozumowanie potwierdzają polskie powstania w latach niewoli. Z naszych powstań w XIX w. wyciągnęli korzyść obcy, nam przyniosły one pogorszenie sytuacji narodowej przez długie lata. Niepodległość przyszła dopiero po obaleniu obu głównych zaborców przez siły zewnętrzne.

Bezpośrednie skutki zajść berlińskich są podobne. Opinia na Zachodzie ocenia rozruchy jako korzystną dla siebie dywersję, ale nie dodaje nic więcej. Jest to lekcja, którą warto pamiętać na własny polski użytek.

NARZĘDZIE FERMENTU

Obrady Międzynarodowego Związku Studentów w Warszawie obfitowały w „manifestacje niepodległościowe ludów kolonialnych, zacofanych i półzawisłych”. Na trybuny zjazdu tłumnie biegli przedstawiciele Indii, Malajów, Burmy, Indonezji, Madagaskaru, Mozambiku, Nigerii, Algeru, Tunisu oraz różnych krajów Ameryki Południowej. Gospodarzom obecnym na zjeździe miało to dać przekonanie o specjalnej misji ciężącej m. i. na młodzieży polskiej, misji wyzwiania ludów Azji i Afryki dla większej chwały komunizmu.

Chwył ten ma głębsze uzasadnienie, niżby się mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Komunizm nie mógł zataić przed młodymi Polakami wszystkiego, co się stało w Polsce w wieku XIX, nie mógł zakazać czytania pism wielkich wieszczów literatury polskiej, ani też zlikwidować pamięci o literaturze politycznej tego okresu. Mógł za to wszystko wytłumaczyć na opak, wykorzystując stare hasła przeszłości. Jednym z takich haseł było: „za naszą i waszą wolność”. Zdając sobie sprawę z naszej słabości w tym kierunku, komunizm postanowił zaadoptować hasło zmieniając jego treść.

Do młodzieży polskiej apeluje się więc obecnie by podjęła sztandar walki o niepodległość krajów egzotycznych, rozumiejąc przez to hasło usunięcie wpływów amerykańsko-angielskich

i wprowadzenie panowania sowieckiego. W ten sposób ma się wypełnić idealistycznie pustkę ideową materializmu komunistycznego, dobrze przez młodzież polską odczuwaną.

Bolszewicy zdają sobie sprawę także, że wśród młodych inteligentów ich strefy Polacy mają najwięcej danych na uzyskanie wpływu wśród kolorowych kolegów: nie są przedstawicielami narodów imperialnych, należą z typu myślenia do Europy zachodniej, nie mają przesądów związanych z kolorem skóry. To pragnie wykorzystać kierownictwo komunistycznych organizacji młodzieży.

Nadużywa się także dobrego imienia Polski u młodzieży mówiącej po hiszpańsku. Rosja i Rosjanie są tam praktycznie nieznani, Polacy zaś mieszkają licznie w Południowej Ameryce i znani są z historii narodów katolickich. Dlatego propaganda komunistyczna prowadzona w tym kierunku jest bardzo ostrożna i stara się nie zwalczać religii, a nawet przybiera nieraz płaszcz obrony wiary.

Jest rzeczą oczywistą, że ta gra ma na celu wykorzystanie naszej młodzieży do celów niezgodnych z polskim interesem narodowym. Niepodległość ludów kolonialnych jest sprawą złożoną i nie uzyska się jej przez popieranie wpływów sowieckich, Sowiety nie mają zamiaru nikomu dawać prawdziwej niepodległości. Ich akcja chce tylko pokłócić Polaków z Anglikami i Amerykanami, stworzyć nieprzebytą przepaść pomiędzy Polską i narodami Zachodu. Znaczna część młodzieży polskiej tę sprawę rozumie lub przynajmniej odczuwa.

WSTYDLIWOŚĆ

Reżim komunistyczny w kraju z zasady nie mówi o kłopotach swoich towarzyszy w innych państwach podbitych, tym bardziej w Sowietach.

Ostatnio podczas dorocznego posiedzenia rumuńskiego KC partii komunistycznej, jej przywódca Dej oświadczył, iż część dawnych kłopotów gospodarki rumuńskiej należy przypisać przesadnemu pośpiechowi w uprzemysławianiu kraju kosztem rolnictwa. To kapitalne stwierdzenie nie znalazło sobie miejsca na łamach pism w Polsce. Podobnie było w czasie lipcowych zmian w rządzie węgierskim, kiedy to wyrażono gotowość rozluźnienia systemu kolchoźniczego. Czytelnik polski dowiedział się wtedy o „sukcesach węgierskiej republiki ludowej” i nic więcej.

Najgłębsze milczenie zachowuje się w sprawach przemian sowieckich. Od likwidacji Berii prasa sowiecka pełna

jest wypowiedzi na temat zwiększenia produkcji dóbr pierwszej potrzeby i drukuje bez przerwy krytyki wskazujące na winnych braku takich czy innych towarów. Przykładowo, „Izwestia” pisały niedawno o wsiach w centralnej Rosji, gdzie w miejscowych sklepikach nie można dostać cukru, nafty ani zapalek. Zamiast przytoczyć autorytatywne opinie dla dobra studiujących rzeczywistość „radziecką” członków różnych towarzystw przyjaźni z Sowietami, pisma komunistyczne w Polsce udają, że nic nie wiedzą.

A tymczasem te wiadomości rumuńskie, węgierskie i rosyjskie są pouczające. Oto przecież, Dej z jakichś powodów musi publicznie tłumaczyć się z rozwijanego forsownie tempa uprzemysłowienia nie biorącego pod uwagę możliwości, a Bierut nie. Sowieckie zaś informacje o brakach tego i owego wyjaśniają, iż w piątej piątylecie, tak samo jak w poprzednich czterech, na wsi nie można dostać zapalek.

Komuniści nie chcą oświecać polskiej ludności w tej dziedzinie.

W OKNIE NA ŚWIAT

Kierownictwo PZPR dało ostrą naganą swym komórkom w Gdańsku na łamach „Trybuny Ludu” za nierobstwo i małą ilość członków partii w mieście.

Z obszernego artykułu na ten temat wynika, że procent zorganizowanych komunistów wśród robotników budowlanych w centrum miasta nie przekracza 4.3. Gdańsk jak wiadomo, jest wielkim centrum budownictwa i będzie jeszcze większym ze względu na planowaną jego odbudowę w ciągu planu pięcioletniego. Wśród robotników portowych PZPR ma również niewielu członków. Winni są oczywiście członkowie KW PZPR, którzy nie zajmują się propagandą.

Wydawałoby się, że komuniści są mądrzejsi. Bo przecież w Gdańsku, w porcie, czyli oknie na świat, więcej wiadomo o różnicy pomiędzy krajami komunistycznymi a wolnymi, niż w głębi kraju. Żadne opowiadania nie przekonają robotnika o rzekomej wyższości krajów sowiektyzowanych, jeśli choć raz zajrzy do wnętrza statków kapitalistycznych przy ich wydłowywaniu.

Poza tym procent pezetpeerowców dochodzący do 4.3 jest i tak wysoki. Przynajmniej połowa z nich będzie kiedyś wyciszczona jako oportuniści i karierowicze. Czy warto wobec tego namawiać robotników do zapisywania się. „Towarzysze z KW” na pewno realistycznie oceniają sytuację i wiedzą, że z próżnego i Salomon nie naleje.

DOLA ROBOTNIKA

Dyktator związków zawodowych Kłosewicz przyznał w „Trybunie Ludu“, że dola robotników w kraju jest nie do pozazdroszczenia.

Jest to zaprzeczenie wszystkiego, co komuniści ogłaszali dotychczas. Słyszeliśmy w ich oświadczeniach, że sytuacja ludzi pracy jest doskonała, że ochrona zdrowia została postawiona na najwyższym poziomie, że w żadnym kraju nie ma takiej opieki nad kobietą a szczególnie matką, jak pod rządami komunistów itd.

Teraz Kłosewicz napisał, jak to „tysiące skarg napływają do Centralnej Rady Związków Zawodowych“ z fabryk i warsztatów. Dotyczą one sytuacji pracownika i braku opieki nad nim. „Większość z nich mogłaby być załatwiona przez związki zawodowe na miejscu“, ale nie jest załatwiana miesiącami i latami.

Jakie są wnioski z tych tysięcy listów? Ze „związki zawodowe nie wykorzystują swych uprawnień w dziedzinie reprezentowania interesów materialnych i spraw bytowych robotników“, powiada Kłosewicz. Oznacza to, iż związki nie zajmują się sprawami materialnymi robotnika. A przecież to właśnie Kłosewicz wprowadził bolszewicką zasadę nakazującą związkom napędzać robotników do pracy, denuncjować słabszych jako „bumelan-tów“ czy nawet „wrogów klasowych“, być narzędziem pracodawcy, a nie tarczą obronną pracownika. Pod jego prezesurą zapadły ostateczne postanowienia przekształcające związki z instytucji wypowiadającej resztkę woli robotników na urząd dyktujący robotnikom wolę państwa.

Skutki tej zmiany są oczywiste. Sekretariaty wojewódzkie i rady załogowe zostały obsadzone przez administratorów, którym los robotników jest obojętny, byle można było się wyka-

zać wykonaniem planów produkcji i podniesieniem wydajności pracy. Związki posiadają własne fundusze i mają wpływ na użytkowanie funduszy przedsiębiorstw. Do ich uprawnień należy opiniowanie w sprawach zapomóg, przydziałów mieszkań, opieki lekarskiej. Do ich obowiązków zalicza się nadzór nad budownictwem mieszkaniowym, nad pracą sieci sklepów żywnościowych i z materiałami pierwszej potrzeby, zakładanie i prowadzenie klubów i świetlic. Biurokraci komunistyczni mało się jednak tym zajmują.

Kłosewicz przyznaje, że związek górników w ciągu 1952 r. nie wykorzystał sumy 7 milionów złotych na te cele. Mówi, że związek pracowników przemysłu chemicznego z posiadanych w budżecie 2 milionów na „cele bytowe“ wydał tylko 1, resztę „zaoszczędził“.

Nie powinny więc dziwić skargi, że kolejarze na wielu stacjach węzłowych nie mają gdzie nocować i śpią w parowozach w zajezdni, że budowniczości fabryki chemicznej w Wizowie nie mają umywalni i jedzą pod gołym niebem bez względu na pogodę i porę roku, że w wielu zakładach nie ma rękawic czy okularów ochronnych, że nie ma świetlic, że w domach „młodego robotnika“ są brudy i nieporządku.

Prawdziwym skandalem jest jednak stosunek do kobiet. Rzekoma wzorowa opieka nad matką, w świetle faktów ujawnionych przez Kłosewicza krzyczy o pomstę do nieba. Kłosewicz przyznaje, iż w Łodzi w 1952 r. wyrzucano na bruk 238 kobiet ciężarnych, gdyż fabryki nie chciały przyznać im gwarantowanego przez prawo urlopu, a związki nie zatroszczyły się o interwencję. Mówi także, że w fabryce metalowej Blachownia pod Częstochową przydzielono do pieca żeliwnego robotnice w 5 miesiącu ciąży.

PREZ. BIELECKI DO KRAJU

W czasie ostatniego pobytu w Niemczech prezes Stronnictwa Narodowego dr Tadeusz Bielecki wygłosił w końcu sierpnia przez Radio Wolnej Europy następujące przemówienie do kraju:

Elementarnym warunkiem każdej godnej miana polityki jest jej niezależność. Inaczej nie prowadzilibyśmy polityki polskiej, ale byłibyśmy narzędziem polityki amerykańskiej, bądź angielskiej, bądź sowieckiej.

Co znaczy polityka niezależna?

Są tacy, którzy sądzą, że niezależność oznacza izolację, która jest w dzisiejszym świecie niemożliwa, a zwłaszcza dla Polski byłaby zgubna. Nie o ta-

ką niezależność nam chodzi. Opierając się głównie na własnych siłach szukamy sojuszników, chcemy mieć poparcie w świecie. Idziemy z tymi, którzy niosą wolność narodom, a nie chcą nas zakuć w nowe kajdany. Ale idziemy nie na oślep, jeno według własnych zasad, ku własnemu celom.

Niezależna polityka znaczy przede wszystkim działanie zgodne z interesami własnego narodu. Współdziałając z Zachodem przeciw naszemu wschodnim ciemnościom zachowujemy samodzielną i robimy to co pomaga, a nie szkodzi polskiej sprawie. Nie byłoby na przykład zgodne z naszymi interesami wywoływanie zbrojnych utarczek, dywersji lub tym bardziej po-

wstań przeciw Sowietom, choćby się to miało temu lub owemu na Zachodzie podobać. Naszym celem nie jest „dokuczanie“ Rosji, ale wyzwolenie Polski przez pobicie Sowietów. Wyrwanie się obecnie z motyką na słońce, Sowietów by nie zniszczyło, a nam przyniosłoby nieobliczalne szkody. Trzeba zatem trzymać odruchy na wodzy i wierzyć, że przyjdzie dzień rozprawy, kiedy wszystkie siły wejdą w grę i kiedy — razem z sojusznikami — pójdziemy do ataku na wroga. Albo inny przykład. Gdyby Ameryka chciała pozyskiwać Niemcy kosztem naszych ziem zachodnich, wtedy byłibyśmy przeciw tym, którzy chcą pomniejszyć Polskę. W tej chwili nie grozi ani jedno, ani drugie. Stany Zjednoczone nie robią obecnie ustaleń terytorialnych i stoją na stanowisku, że dopiero traktat pokojowy załatwi ostatecznie sprawę graniczną.

Trudno jest prowadzić niezależną politykę w wolnym świecie, tyle różnych obcych wpływów nas obiega, ale zgoła jest to niemożliwe w kraju niewolnym. Dążeniem naszym zatem jest wyzwolić naród polski z niewoli, ażeby razem z innymi mógł w sposób samodzielny, zgodnie ze swą wolą i tysiącletnią tradycją kształtować swoje życie i brać udział we wzbogacaniu cywilizacji rzymskiej i katolickiej.

Jakież są obecnie szanse naszego wyzwolenia?

Na Zachodzie, przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych wysunięto postulat wyzwolenia naszych krajów. Nie przybrał on jeszcze konkretnych form ani charakteru zobowiązań, ale istnieje i świadczy o tym, że sprawa polska jest na porządku dziennym polityki światowej. Możemy dodać, że — aczkolwiek w obecnej chwili Zachód nie uderzy na Sowiety dla wyzwolenia nas — rozwój wydarzeń idzie w kierunku ograniczającym możliwości polowicznych rozwiązań. Po obecnych zakrętach dojdzie do wyjaśnienia sytuacji i trwałego ułożenia stosunków, a takie ustalenie rzeczy musi objąć również wyzwolenie Polski. Przyjdzie ono może wcześniej, niż się niejednemu wydaje.

Ciekawsze od przemian na Zachodzie są wypadki w Rosji. Niestety nikt nie potrafi powiedzieć jak długo potrwa i jak głęboko sięgnie kryzys wewnętrzny spowodowany śmiercią Stalina. Jedno jest pewne, że kryzys trwa i że usunięcie Berii nie jest zakończeniem, ale początkiem walk sukcesyjnych. Odeszcie dyktatora tej miary co Stalin, w ustroju tego typu co sowiecki jest o wiele głębszym przeżyciem, niż zmiana rządów na Zachodzie. Stąd niebawem jak na stosunki sowieckie przestreganie po śmierci Stalina przed rozstrojeniem i paniką. A więc obawiano się w Rosji paniki. Powiem więcej. To

wewnętrzne poczucie paniki trwa. Nikt nie wie kto, kiedy i kogo będzie przepędzał. Położenie Malenkowa nie jest również do pozazdroszczenia. Uprzątnąwszy jednego konkurenta musi się obawiać innych. Czy w tej walce wewnętrznej nie wysunie się z czasem na czoło armia?

Na razie komuniści starają się odwrócić uwagę od spraw wewnętrznych próbami załatwienia kwestii niemieckiej, stwarzaniem trudności we Francji i we Włoszech, zawarciem rozejmu w Korei, po to prawdopodobnie, aby uderzyć mocniej w Indochinach, a teraz może położyć łapę na Persji. Niemniej owe kłopoty wewnętrzne istnieją. Czy uratuje sytuację przedstawianą się na nową politykę gospodarczą, na większe jakoby dbanie o poziom ży-

cia zwykłego człowieka w Rosji i w krajach podbitych? Zwykle syty człowiek ma więcej siły i ochoty do sprzeciwiania się, niż głodny i wynędzniały.

Krótko mówiąc położenie w Rosji nie jest różowe i może je wzmocnić tylko niemoc lub dezorientacja Zachodu. Nie sądzimy jednak, żeby Sowiety miały się same rozpaść. Powiązanie wszakże wewnętrznych trudności razem z walką na szczytach maszyny partyjnej i państwowej oraz skuteczna i na czas rozwinięta akcja Zachodu mogą spowodzić w stosunkowo niedługim czasie pożądane zmiany, które nam umożliwią wyrwanie się z jarzma niewoli.

Tak więc perspektywy nie są złe.

Stronnictwo Narodowe toczy walkę na gruncie międzynarodowym o pra-

wo Polski do niezależnego bytu i o taki obszar państwa, który by narodowi naszemu pozwolił rozwinąć skrzydła do lotu i brać udział w życiu całej i wolnej Europy.

Kolegów z kraju prosimy, aby swe siły zachowywali na te etapy walki, kiedy będzie szło bezpośrednio o sprawę polską. Wiemy, że w walce wytrwacie i że już dziś toczy się na ziemiach polskich głucha, ale zażarta walka o zachowanie polskości, o własny typ cywilizacji, o myśl niepodległą i nieskażoną duszę naszego narodu. Razem z Wami, kochani Rodacy, wierzymy w niezniszczalne siły narodu, którego żadne moce nie przemogą i w rychę, ostateczne zwycięstwo nad rozjuszoną, ale słabnącym marksizmem.

NACJONALIZACJA TO NIE WSZYSTKO

Od dłuższego już czasu na łamach prasy brytyjskiej toczy się dyskusja na temat rozszerzenia czy zahamowania planu upaństwowiania przemysłu. Lewe skrzydło Labour Party pragnęłoby widzieć program szeroko zakreślonej nacjonalizacji, gdy jednocześnie prawe jej skrzydło w sprawie tej wykazuje wyraźną rezerwę. Brak entuzjazmu dla polityki nacjonalizacyjnej daje się zauważyć i w szeregach przywódców TUC, Kongresu Związków Zawodowych. Jednocześnie rząd konserwatywny przeprowadza przez parlament ustawy denacjonalizujące przemysł stalowy i transport samochodowy. W tym stanie rzeczy powstaje pytanie — co właściwie jest powodem łamania się linii polityki, która do niedawna w szeregach Labour Party przynajmniej, była powszechnie uznawaną drogą do przebudowy społecznej?

Trudno jest w chwili obecnej dać pełną odpowiedź na to pytanie, odpowiedzi mogącą wyjaśnić całokształt tego skomplikowanego zjawiska. Można jednak podjąć próbę uchwycenia kilku choćby przyczyn, które mogły wpłynąć na wytworzenie się owego klimatu zawodu, jaki się ostatnio wokół zagadnienia nacjonalizacji zaczął wytwarzać.

Hasło uprzemysłowienia przemysłów kluczowych i źródeł energii było u nas przed wojną popularne i większość opinii publicznej za uprzemysłowieniem tych działów gospodarki narodowej się wypowiadała. To zgodne na ogół stanowisko znajdowało swe uzasadnienie

w słusznym przekonaniu, że kluczowe gałęzie przemysłu ze względu na dobro społeczne, a przede wszystkim ze względu na bezpieczeństwo i obronność kraju, powinny znajdować się pod bezpośrednim zarządem organów państwowych. W podejściu tym mniejszą rolę odgrywały względy doktrynalno-polityczne, istota zagadnienia leżała w płaszczyźnie zagadnień zewnętrzno-politycznych. Stąd wypływała owa powszechność i zgodność poglądu, potęgowana jeszcze i tym, że kwestia ta łączyła się również z popularnym hasłem wyrugowania wpływów kapitału obcego i to znów nie tyle z ekonomicznych co politycznych motywów.

W Wielkiej Brytanii hasło nacjonalizacji weszło w program cichej rewolucji, jaka została przeprowadzona w okresie rządów Labour Party. Zagadnienie postawione zostało bardziej doktrynalnie, bardziej zasadniczo i dano mu jedno z pierwszych miejsc wśród twórczych elementów realizowanej przez Labour Party przebudowy społecznej i politycznej. Względy natury gospodarczej, społecznej podporządkowane zostały doktrynie socjalizmu państwowego, nakazującego dążenie do nacjonalizacji, by doprowadzić wreszcie do całkowitego wyeliminowania prywatnego kapitalisty. Trzeba tu nawiasowo dodać, że okres rządów Labour Party wykorzystany został dla przeprowadzenia wielu reform słusznych i z punktu widzenia społecznego niewątpliwie korzystnych, reform, które stały się już dziś powszechnie uznanymi zdobyczami jakich żaden rząd nie ma zamiaru odbierać. Ta radosna

twórczość reformatorska zawierała w sobie jednak jedno wielkie niebezpieczeństwo, dziś zaczynające występować z dużą ostrością. Niebezpieczeństwem tym jest wyczerpanie się inwencji programowej. Szereg hasel, jakimi od lat szermowano, zostało zrealizowanych, blask dobrodziejstw przyniesiony w ich wykonaniu przybladł, powstało pytanie — co dalej? Nowych drogowskazów dalszego postępu nie można z dnia na dzień znaleźć, z dawnych, pozostał ciągle jeszcze daleki od pełnej realizacji program nacjonalizacji przemysłu.

Spadek popularności tego hasła wśród szerokich mas pracowniczych ma swe przyczyny znacznie głębsze, jakby to na pozór mogło się wydawać. Leżą one w płaszczyźnie odmiennego, niż oficjalny program ujmowania kierunku przebudowy struktury społecznej przemysłu. We wszystkich chyba ruchach politycznych są skrzydła, które by można nazwać zachowawczymi w tym sensie, że energią swą kierują na zwalczanie wrogów historycznych, wrogów, którzy w przyszłości byli groźni i potężni, obecnie zaś całą ich siłą jest odbłask dawnej świetności, skrzętnie podtrzymywany przez ich przeciwników.

Takim wrogiem historycznym świata pracy jest kapitalista prywatny, pozostać niewątpliwie niesympatyczna i niegdyś istotnie groźna. Tylko, że w dobie obecnej zastąpienie kapitalisty przez jakąkolwiek formę własności publicznej z punktu widzenia pracownika nie zmienia nic lub bardzo niewie-

le. Szeroki i powszechny rozwój ustawodawstwa społecznego doprowadził do sytuacji, w której umowa o pracę straciła w dużym stopniu charakter umowy prywatno-prawnej, a nabrała cech umowy publiczno-prawnej. Jaśniej mówiąc, pracodawca nie może zaangażować pracownika na warunkach jakie by wynikały jedynie z prywatnej umowy pomiędzy pracownikiem szukającym zarobku i pracodawcą szukającym pracownika. Umowa taka obecnie obracać się musi w granicach przepisów prawnych i układów zbiorowych, które szczegółowo określają stawki płacy dla poszczególnych kategorii pracowników, czas zatrudnienia, długość urlopów, dni wolne od pracy i szereg innych jeszcze warunków przewidzianych wyraźnie ustawami, umowami i zwyczajami. Możliwość wyzysku w tej dziedzinie zagadnień jest praktycznie równa zeru. Zamiana więc kapitalisty prywatnego na zarząd państwowy zasadniczych zmian przynieść nie może. Ale też i nie tu tkwi sedno zagadnienia i gdzie indziej może tworzyć się źródło fermentu społecznego.

Nie można zapominać, że na przestrzeni ostatnich lat stu pięćdziesięciu czy dwustu świat przeżył dwie bezkrwawe rewolucje. Pierwsza, to rewolucja przemysłowa związana z wprowadzeniem do przemysłu nowych sposobów produkcji, opartych na zastosowaniu nowowynalezionych maszyn i ulepszeń technicznych, drugą — rewolucję techniczną, datującą się od momentu zastosowania taśmy produkcyjnej, tym samym nowej organizacji ludzi do wykonywania pracy. Sam proces produkcyjny podzielony jest na wielką ilość stosunkowo prostych czynności, których zgranie i złożenie w całość stanowi o doskonałości i szybkości produkcji.

Do tego zgrania maszyn i ludzi w jedną harmonijnie pracującą całość potrzebne jest posiadanie wysoko kwalifikowanych fachowców, którzy potrafią kierować tym skomplikowanym mechanizmem. Ci fachowcy są dziś tak niezbędni, że oni właśnie potrafili uzależnić od siebie formalnego właściciela zakładu pracy i oni, ci „managerowie“ zajęli miejsce dawnych kapitalistów, oni są czynnikiem decydującym w organizacji przemysłowej. I gdy przedtem uważano, że świat pracy uzyska istotny wpływ na kierowanie przemysłem w chwili, gdy zawładnie środkami produkcji, to obecnie sprawa jest znacznie trudniejsza. Posiadanie środków produkowania nie wystarcza, je-

żeli nie ma się wpływu na organizację faktycznie i niepodzielnie kierującą procesami produkcyjnymi. Uwaga ta odnosi się przy tym w równym stopniu do tak zwanych pracowników fizycznych jak i umysłowych. Księgowy, inżynier, stenotypistka, cała gama zawodów nie znaczy nic dopóki nie jest wykorzystana w ramach organizacji życia przemysłowego. W tym systemie managerialnym obojętny jest fakt kto formalnie jest właścicielem zakładu pracy: przedsiębiorca prywatny, spółka akcyjna, samorząd, państwo czy kooperatywa pracowników. Istotna władza w każdym z tych wypadków pozostawać może w ręku tych samych nawet ludzi, bo oni stanowią szczyty organizacji przemysłu. Tu właśnie, w tym zjawisku leży istota kryzysu nacjonalizacji, jako środka uzdrowienia stosunków na odcinku przemysłu.

Nawiasowo wspomnieć należy, że to zjawisko daje się zauważyć i po drugiej stronie barykady, w organizacji związkowej. I tam ośrodek istotnej dyspozycji przeszedł z rąk działaczy tkwiących bezpośrednio w życiu fabrycznym, w ręce administracyjnego, fachowego aparatu kierującego pracami wielkich central związkowych. Na pewno nie będzie specjalnie przesadne stwierdzenie, iż w wielu wypadkach mniej dzieli managera z przemysłu od managera ze związku zawodowego, niż tego samego managera związkowego od członka jego związku, zatrudnionego gdzieś w fabryce. Na tym tle w dołach powstaje krytyka, jakiej przykłady spotkać możemy na przykład wśród górników, którzy skarżą się, że w zarządach znacjonalizowanych kopalni zbyt dużo pozostało dawnych „bossów“.

Jak z tego widzimy mit własności publicznej zakładów przemysłowych wiele stracił z dawnego blasku. W świadomości pracowniczej zaczyna coraz wyraźniej budzić się dążenie do znacznie głębiej sięgającej przebudowy systemu organizacji przemysłowej. Dążenia te zmierzają do wytworzenia wspólnoty przemysłowej przez dopuszczenie pracowników do współkierownictwa zakładem pracy. Projekty przebudowy są różne, jedne z nich pragnęłyby doprowadzić do współwłasności zakładu i tą drogą związania pracownika z jego warsztatem i zainteresowania go w rozwoju tego warsztatu, inne idą bliżej i szukają dróg przyciągnięcia pracowników do kierowania zakładem bez nadawania praw współwłaściciela. Wariantów może być wie-

le, nie idzie mi tu wcale o krytyczne ich omawianie, chciałbym natomiast zwrócić uwagę na to, co w mym rozumieniu stanowi istotną rewolucyjność tych koncepcji. Dotychczasowa linia polityczna zdążyła do połączenia pionu przemysłowego z pionem zawodowym na najwyższych szczeblach życia państwowego. Centralne zarządy przemysłów znacjonalizowanych współpracowały z centralami ruchu zawodowego. Koncepcja, o której wspomniałem jest w swej istocie decentralistyczna i zmierza do stworzenia z poszczególnego zakładu pełnej całości społecznej.

Poza względami stworzenia nowej struktury życia przemysłowego koncepcja ta zmierza jednocześnie do ułatwienia i innej jeszcze kwestii, związanej z rozbiciem procesów produkcyjnych i daleko posuniętą mechanizacją pracy. Kwestią tą jest monotonia pracy. Ostatnio powstała specjalna gałąź nauki, która stara się zwalczać znużenie i monotonię pracy. Psychologia przemysłowa, bo taka jest nazwa tej nauki, zajmuje się szczegółowo i wnikliwie warunkami pracy, zwraca baczną uwagę na staranny dobór ludzi pracujących w zespołach, bada sposób urządzenia sal fabrycznych by zapewniały swym wyglądem dobre samopoczucie pracownika. Ale poza tymi sprawami technicznej raczej natury, psychologia przemysłowa ostatnio wkroczyła i w krąg zagadnień stanowiących istotę problemu człowieka w przemyśle, właśnie w krąg zagadnień przyciągnięcia pracownika do zagadnień samego życia zakładu pracy, zainteresowania go całokształtem pracy, w której na codzień widzi mały tylko fragment. Jednym słowem, psychologia przemysłowa wychodząc z innego niejako miejsca dochodzi do punktu końcowego, od którego już tylko krok do postulatu stworzenia z zakładu pracy jedności produkcyjnej, wciągającej do swych zainteresowań i codziennych problemów wszystkich zatrudnionych na różnych szczeblach i w różnych działach produkcji.

Marginesowo dodaję, że w niektórych przedsiębiorstwach znacjonalizowanych próbowano zwiększyć zainteresowanie pracowników zakładem pracy poprzez tworzenie różnych komitetów doradczych i pewnych zaczątków samorządu pracowniczego. Próby inicjowane w Wielkiej Brytanii i we Francji nie dały na ogół poważniejszych rezultatów, wiele z nich szybko zamarło. Powodów można doszukiwać się wielu, główną jednak przyczyną

ną braku powodzenia był fakt, iż komitety albo miały zbyt małe uprawnienia i do postulatów przez nie wysuwanych nie przywiązywano większego znaczenia, lub też zakres ich działania ograniczał się jedynie i wyłącznie do organizowania życia zbiorowego w godzinach wolnych od pracy, jak wycieczek, dancingów, zabaw dla dzieci.

Również należy zdawać sobie sprawę i z tego, że ruch zawodowy w osobach jego głównych przywódców i aparatu kierowniczego jest w zasadzie niechętny wszelkiego rodzaju koncepcjom decentralistycznym. System organizacyjny związków brytyjskich opiera się na skupianiu pracowników według branż i zawodów, względnie w wielkich związkach ogólnych. Związków łączących pracowników jednego zakładu pracy praktycznie nie ma. Istnieje przekonanie, że związek fabryczny przez związanie go z jednym zakładem pracy ma naturalną skłonność do ulegania kierownictwu zakładu i że mógłby mieć skłonność do stawiania interesu pracowników danej fabryki wyżej od interesu klasy robotniczej traktowanej jako całość. Ten system centralistyczny niewątpliwie jest powodem zbiurokratyzowania życia związkowego i apatii mas członkow-

skich w stosunku do życia organizacji. Nikła frekwencja na zebraniach kół lokalnych związków jest tego najlepszym przykładem. Natomiast, jak można się spodziewać, przejście na system związków zakładowych miałyby ten dobry skutek, że jednocześnie związałyby pracownika ze związkiem, a pracę związku oparło o realny odcinek życia gospodarczego. Poza tym takie ustawienie sprawy dałoby bardziej aktywnym i ambitnym jednostkom możliwości wykazania swej inicjatywy i zdolności oraz stworzyłoby dla nich pole do awansu społecznego w swej własnej grupie społecznej, co niewątpliwie wpłynęłoby ożywczo na atmosferę zakładu przemysłowego.

Poruszone zagadnienia nie wyczerpują całości problemu, jest ich jednak wystarczająca ilość, aby wykazać, że rozwiązania trudności obecnej cywilizacji przemysłowej należy szukać w rozwiązaniach szerszych, niż mechaniczne stosowanie nacjonalizacji. Zło — przypominam — już dziś nie leży w płaszczyźnie zagadnienia kto jest właścicielem zakładu pracy, lecz w płaszczyźnie organizacji przemysłowej, wykonującej faktyczną funkcję kierowania. W rozwiązaniu tego problemu leży sedno zagadnienia.

Dochodząc do końca uwag podkreślam jeszcze jedno zagadnienie. Uwłaszczenie mas nie musi być koniecznie rozumiane jako dopuszczenie pracowników do współwłasności zakładu pracy, w którym jest on zatrudniony. Może być ono rozumiane również jako dążenie do odproletaryzowania tych mas, a więc stworzenie z nich jednostek samodzielnych gospodarczo, mimo że w swym zatrudnieniu pozostaną pracownikami zależnymi. Drogą do tego jest zasadnicza zmiana prawodawstwa w kierunku ułatwienia gromadzenia drobnych kapitałów. Koncepcja ta zmierza do przesunięcia środka ciężkości z troski o zabezpieczenie jednostki od wszelkiego ryzyka jakie ją może dotknąć, a więc z „security“ na zabezpieczenie oparte na posiadaniu własnych zasobów materialnych.

Przywrócenie człowiekowi poczucia wolności, danie pola do aktywnego działania jako obywatela biorącego czynny udział w realizacji dobra publicznego w ramach jego własnego środowiska — to są elementy konieczne, choć nie jedyne, dla stworzenia warunków, w których dopiero można zacząć realizowanie koncepcji demokracji przemysłowej.

F. P.

ALPINISTA MALCZEWSKI

W NAJSTARSZEJ części Chamonix, przed kościołem, skąd ponad dachami dworca widać lśniące lodowce, spotykają się przewodnicy (a „Compagnie des guides de Chamonix“ jest najstarszą organizacją przewodników wysokogórskich w Europie) pod małym granitowym obeliskiem. Na obelisku tym znajduje się brązowa okrągła płaskorzeźba przedstawiająca głowę mężczyzny o wydatnych, ale bynajmniej nie urodziwych rysach. Jest to podobizna Jakuba Balmata.

Jakub Balmat był w osiemnastym wieku tym czym Tensing Sherpa w dwudziestym. Dokonał on wraz z doktorem Piccardem z Genewy pierwszego wyjścia na Mont Blanc, najwyższy i, jak przez długie wieki uważano, niedostępny szczyt Europy. To pierwsze wyjście stało się źródłem nieporozumień zupełnie podobnych do tych, jakie wynikły z pierwszego wyjścia na Mount Everest. Zazdrośni o sławę doktora Piccarda ogłosili, że całą trasę ułożył Balmat, że on wszedł pierwszy na wierzchołek, że musiał wnieść tam osłabionego lekarza. Balmat na-przód zaprzeczył temu w pisemnym ze-

znaniu złożonym na ręce Piccarda, potem po pijanemu potwierdzał wersję jego konkurentów. Sprawa nie wyjaśniła się całkowicie nigdy za życia Piccarda, a choć późniejsi historycy Mont Blanc twierdzą, że genewczyk był autorem trasy i właściwym zdobywcą Białej Góry, w rodzinnym Chamonix przetrwał kult Jakuba Balmata, nestora najstarszego związku przewodników, zwanego za życia Père Mont Blanc.

Jacques Balmat był za młodu poszukiwaczem kryształu górskiego, bardzo wówczas cenionego przez jubilerów genewskich, i, jak wielka ilość górali sabaudzkich, kłusownikiem: polował na kozice. Sabaudia za jego czasów nie należała do Francji, lecz do królestwa Sardynii, a miasto Genewa nie było częścią Szwajcarii, lecz cieszyło się feudalną półniepodległością. Gdy Balmat wyszedł po raz pierwszy na Mont Blanc w r. 1786, miał lat 24. Gdy wyszedł tam po raz ostatni miał lat 56. O tym ostatnim wyjściu Père Mont Blanc na Króla Gór chcemy właśnie opowiedzieć.

Ludziom osiemnastego wieku obcy

był duch sportowy, nurtowała ich natomiast pasja naukowa. Człowiekiem, który pierwszy rozbudził zainteresowanie szczytami alpejskimi i stał u kolebki wyprawy doktora Piccarda, był genewski naturalista de Saussure. On też drugi (w rok po Piccardzie) wyszedł na Mont Blanc. Wyszedł uzbrojony w barometry, termometry i inne przyrządy naukowe, obiecując sobie odkryć nowe prawa przyrodnicze na zawrotną wysokość najwyższego szczytu Alp. Nie odkrył wiele. Współcześni mu głosili także, że idą w góry wiedzeni ciekawością naukową i chęcią służenia ludzkości, ale była to poza. Inne siły ciągną człowieka na szczyty wysokogórskie. Jest i atrakcja sportowa: satysfakcja zwalczania przeszkód materialnych przez wysiłek fizyczny, ale sport to daleki od doskonałości boiska. Wielcy alpinisci nie są ludźmi o szczególnie silnych mięśniach albo szybkich reakcjach. W tym sporcie decyduje nie siła fizyczna, ale siła psychiczna, zupełne opanowanie nerwów i wyobraźni. Jest i wielka atrakcja estetyczna: wspinanie się po ścianach skalnych nie jest wspinaniem

się po murze, ale wspinaniem się w obłokach. Lecz jest jeszcze coś więcej. Wspinacz w górach znajduje się w innym świecie, prawdziwszym, w którym nie ma pozorów bezpieczeństwa i mocy, jakie człowiek zbudował koło siebie na nizinach. Alpinista widzi śmierć bezpośrednio na każdym kroku, nie jak żołnierz, który może ją sam także zadawać, ale jednostronnie. Śmierć ta jest tym groźniejsza, że bierna, czekająca latami na fałszywy krok czy błędny rachunek człowieka, który sam wyda się w jej ręce. Śmierć ta nie jest ukryta za węglem, ale plastyczna w majestacie dysproporcji między ogromem i trwałością góry, a znikomością delikatnego ciała ludzkiego. Człowiek w górach jest samotny i pełen czci.

Ludzie opanowani gorączką wysokogórską żyją poza górami w stanie półrzeczywistości, żyją dla tego okresu pełnego życia, jaki daje im pobyt w skałach, lodach i wiecznych śniegach. Jest to namiętność mająca w sobie niewątpliwy element religijny. Element ten wydobywają góry w bardzo różnych postaciach. Znałem kiedyś młodego człowieka, doskonałego taternika, w życiu miejskim praktycznego i zupełnie nie interesującego się sprawami ducha. Jakież było moje zdziwienie, gdy zauważyłem, że w miejscach szczególnie trudnych ma on zwyczaj głośno i dziecinnie bluźnić. W Alpach zdumiewająco pospolitym widokiem jest habit. Ale alpinisci są na ogół ludźmi nieartykułowanymi, nie precyzując swoich uczuć. Chyba, że są poetami. I tu wracamy do ostatniego wyjścia na Mont Blanc Jakuba Balmata.

W rok po wyjściu z Piccardem był na górze trzykrotnie: sam, z „wielkim“ de Saussure i z pierwszym przybyszem z dalekiego świata, Anglikiem Beaufoyem, a w następnym roku znowu z Anglikiem Woodleyem. Przyszła rewolucja francuska, pionierzy turystyki przestali odwiedzać Alpy. Przeszedł Napoleon, powrócili Burbonowie. Balmat raz zgodził się pójść z pierwszą kobietą, jaka próbowała wyjścia na Mont Blanc, Marią Paradis, ale wiedział z góry, że nie dojdą na szczyt; poza tym odmawiał: starzał

się, nie chciał może stracić laurów albo obawiał się nadużywać laskawości losu. Ówczesna droga na szczyt nie była bezpieczna: wiodła ona w górnej części szlakiem lawin i aż dziwne, że pierwsze wyprawy wszystkie skończyły się bez katastrofy. Dopiero w r. 1822 lawina porwała wyprawę Clissolda, której szczytki lodowiec Bossons wyrzucił nisko w dolinie w latach sześćdziesiątych, to jest po czterech dekadach. Stało się to bodźcem do wytrasowania nowej drogi przez Fellowsa w r. 1827. Stary Balmat raz jeszcze w życiu uległ pokusie wyjścia na Mont Blanc, a stało się to w r. 1818.

Może młody cudzoziemiec wywarł na nim szczególne wrażenie? Nazywali go hrabią, choć on sam podawał się tylko za szlachcica: un gentilhomme polonais. Spędził ostatnie lata na studiowaniu mesmeryzmu w Paryżu — może miał w sobie siłę sugestywną. Na pewno miał zapal romantyczny. Nazywał się Antoine Malczeski. Nie był pierwszym Polakiem pod Mont Blanc. Już kiedy de Saussure schodził z Mont Blanc, witał go w Chamonix z entuzjazmem Wawrzyniec Marcin Dzieduszycki w r. 1787. Malczewski jednak przybył nie po to tylko by podziwiać najwyższy szczyt alpejski, ale by go zdobyć.

W owym roku już od lat szesnastu stopa turysty nie dotknęła Króla Gór, od czasu gdy wyszli na nią w r. 1802 bałtycki baron Dorthesen i Szwajcar Forneret. Chodziły nawet pogłoski, że w ciągu tych lat szczyt stał się niedostępny. Nie zniechęciło to, lecz raczej podnieciło Antoniego Malczewskiego. Jego wyjście miało być siódme w historii Mont Blanc. Ważniejsze w tej historii jest, że przedtem dokonał on pierwszego wyjścia na dziewiczy dotąd szczyt Aiguille du Midi, wznoszący się bezpośrednio nad Chamonix.

W tomie 9 genewskiej „La revue universelle“, w dziale „Sciences et arts“ sześć stron zajmuje „List do prof. Pictet o wyjściu na Aiguille du Midi z Chamonix i na Mont Blanc przez szlachcica polskiego w pierwszych dniach sierpnia roku bieżącego“. Jest to list Antoniego Malczewskiego, pisany płynną i żywą, choć nie wolną

od błędów ortograficznych, francuszczyzną. Wydaje się, że warto go tu ogłosić w pełnym tekście. Tłumacząc starałem się jak najwierniej, niemal dosłownie zachować zwroty oryginalne, a nawet nieco niezwykłą interpunkcję. Oddajmy głos przyszłemu autorowi „Marii“:

Genewa, sierpień 1818

Życzy Pan sobie otrzymać ode mnie relację z mej podróży do Chamonix; ożywiony miłością swego kraju, szukając gorliwie wszystkiego co mogłoby mieć jakikolwiek pożytek dla ludzi, jest Pan ciekaw wiedzieć co mi się przydarzyło, sądzi Pan bowiem, że nawet małe sprawy mogą być czasami interesujące; trzeba mi więc zadowolić Pana i wziąć do ręki pióro w języku, który nie jest moim.

Podziwiałem, jak wszyscy, wasze wysokie góry i czarujące doliny, lecz brzegi Jeziora Genewskiego podobały mi się nade wszystko: nigdy nie miałem dość podziwiania stamtąd lodowców Chamonix; niecierpliwiłem się, gdy nie mogłem ich dojrzeć o zachodzie słońca, gdy chmury pozbawiały mnie widoku ich szczytów; wreszcie pewnego pięknego wieczoru lipcowego tak mnie zachwycił widok Mont Blanc, że postanowiłem udać się obejrzeć ją z bliska. Nie będę Panu nic mówił o podróży z Genewy do Chamonix: widziałem tylko Mont Blanc, myślałem tylko o szczęściu osiągnięcia jej wierzchołka. W Sallanches, gdzie spędziłem pierwszą noc, pytałem o nieco informacji i udzielono mi jak najbardziej niekorzystnych dla mego projektu: mówiono mi o trudnościach bez liku, o ogromnych szczelinach lodowych, które się potworzyły nie wiadomo jak; w skutku nie było już możliwe dotarcie na Mont Blanc, śmiano się wreszcie, gdym mówił, że pragnę tam wyjść. Nazajutrz nowe nieszczęście: pogoda się popsuła i mówiono mi o deszczu jako o czymś, co mnie wybawi z honorem od tak niebezpiecznego przedsięwzięcia; przybyłem więc do Chamonix ze słabymi nadziejami powodzenia; wnet jednak przewodnicy rozproszyli obrażenia jakie miałem o owych straszliwych szczelinach; odbyliśmy kilka wycieczek na lodowce; opowiadali mi o Aiguille du Midi, dokąd nikt jeszcze się nie wspiął. Szło o coś niemniejszego niż odkrycie może nowych okolic a przynajmniej nowych przejść; zapomniałem o Mont Blanc i zajmowałem się już tylko tą iglicą. A przecież pierwsze myśli poświęciłem był Królowi Gór. By wszystko pogodzić ułożyłem projekt znacznie szerszy, a mianowicie, jeśli dotrzemy na Aiguille, szukać stamtąd przejścia aż na Mont Blanc i wracać z niej zwyczajną drogą. Zobacz Pan o ile nam się to udało.

Wyruszyłem na Aiguille du Midi z sześcioma przewodnikami: po przej-

Roman Dmowski

„MYŚLI NOWOCZESNEGO POLAKA“

Wydanie siódme według wydania czwartego

Ze słowem wstępnym Tadeusza Bieleckiego

Nakładem Koła Młodych Stronictwa Narodowego

Do nabycia w Administracji „Myśli Polskiej“ — 8 Alma Terrace,
Allen Street, London, W. 8 oraz w księgarniach. Cena 10/-

ściu Montenvers i przekroczeniu Mer de Glace udaliśmy się na nocleg pod Tacul, gdzie przybyliśmy około 7 godziny wieczór. Wie Pan, że schron ten nie jest zbyt wygodny; są to skały wpośród lodów sasiadujące z małym stawem, który opróżnia się w nocy; było dość zimno; termometr Réaumura stał na jednym stopniu poniżej zera. Szybko zebraliśmy rododendronów, które znajduje się jeszcze na tych skałach i wnet wielkie ognisko zaczęło ogrzewać i radować towarzystwo. Wieczeraliśmy, śmieli się, gwarzyli, opowiadano mi piękne historie z tych gór; potem ułożyliśmy się dokoła ognia, a dla mnie zarezerwowano na głazie nieco mniej chropawym miejsce honorowe. Znajdowaliśmy się pod wielkim blokiem skalnym; przy najmniejszym wietrze dym pieścił wszystkie twarze; widok był jednakowoż zbyt nowy, bym mógł się nim cieszyć tak spokojnie. Wstałem więc i wspiąłem się na głaz w pewnym oddaleniu. Miesiąc oświecał tę rozległą pustynię skał i lodów, nic przecież nie dawało rozrywki oku, nic nie koło myśli; a ci ludzie uspieni dokoła ognia już dogasającego wydawali się być przybyłymi do krainy śmierci, by tu ulec nieubłaganemu przeznaczeniu, jakie gotowały im lawiny. Wreszcie mroz wygnął mnie z mego obserwatorium; moi przewodnicy zbudzili się, ożywili ogień i resztę nocy spędziliśmy na gawędzeniu. O czwartej rano postanowiliśmy wyruszyć; barometr, który wieczorem stał na 22 p. 21, opadł nieco rankiem; termometr stał na 4 st. (R) poniżej 0; dla ostrożności powiązaliśmy się między sobą linami i ruszyliśmy w drogę. Obeszliśmy naprzód staw, który zniknął, gdyż widzieliśmy już tylko głązy tworzące jego łożysko; po przekroczeniu szczeliny, jakie napotyka się idąc na Col du Géant, znaleźliśmy się na równinie śnieżnej. Tam odbyliśmy naradę nad tym, jaką wziąć drogę; ukazywały się trzy lodowce, które mogły nas wywieść na Aiguille du Midi: pierwszy po prawej stronie wydawał się zbyt stromy i zbyt spekany; wybraliśmy drugi o spadku dość łagodnym i wkrótce marzyłem już tylko o pięknych dolinach, które odkrywamy; znaleźliśmy jednak tylko przepaście; dopiero po mnóstwie wysiłku, któremu towarzyszyło pewne niebezpieczeństwo, dostrzegliśmy wreszcie Aiguille du Midi a szczyt jej osiągnęliśmy zaledwie

o godzinie 4 wieczór. Ukazuje ona od strony Chamonix dwie skały oddzielone grzbietem pokrytym śniegiem, myśm wyszli na mniej wyniosłą z tych skał; przechodzi ona w kilka szczytów urwistych; poznaliśmy, że nie można myśleć o pójściu tamtędy na Mont Blanc. Widok, jaki ma się ze skały, na którą wyszliśmy, jest bardzo rozległy, dostrzega się dużą część Lombardii ponad Col du Géant; a ta piękna Italia, dostrzegana tak poprzez lodowce, przypominała owe Pola Elizejskie, które starożytni dostrzegali poza grobami. Jako że można było posunąć się bez niebezpieczeństwa aż do brzegu skały, ujrzelśmy na zachodzie opactwo Chamonix, lecz chmura zasłoniła przed nami część doliny. Ponieważ barometr uległ wypadkowi, nie mogliśmy go obserwować, myśleliśmy też tylko o powrocie. Było późno a trzeba było koniecznie powrócić do schronu pod Tacul, gdyż byliśmy mokrzy, zmęczeni i bynajmniej nie ubrani do spędzenia nocy na śniegach. Schodząc omijaliśmy zle przejścia, które nas kosztowały tyle trudu, i poszliśmy w innym nieco kierunku, obchodząc lodowiec brzegiem od strony iglic dzielących nas od Mont Blanc, aż o 10 wieczór osiągnęliśmy wreszcie nasze drogę skały. Tam dałem pokój refleksjom i obserwacjom i spałem bardzo dobrze na głazie; nazajutrz bardzo szczęśliwie przybyliśmy do Chamonix.

Teraz, Panie, zadanie moje jest prawie spełnione, gdyż podróż na Mont Blanc, którą mam Panu opowiedzieć, nie różni się prawie pod względem drogi i odbytej niegdyś przez P. de Saussure. Wyszliśmy, jedenastu przewodników i ja, przez Montagne de la Cote na nocleg pod skałami, które zowią Les Grands Mulets; a nazajutrz, 4 sierpnia o wpół do pierwszej osiągnęliśmy szczyt. Barometr stał na 15 p. 91 a termometr na — 30; pogoda wspaniała. Miałem z sobą pryzmat, gdyż byłem ciekaw zaobserwować czy nie będzie jakiej różnicy w żywości barw; kazałem wymalować w Genewie barwy bardzo dokładnie; nie zauważyłem jednak żadnej zmiany, barwy były dokładnie tej samej siły. Spędziliśmy półtorej godziny na szczycie; widok wydał mi się wspaniały, ponad wszystko, co mogłem sobie z góry wyobrazić. Świeżość dolin i lasów, wdzięczne zarysy jeziora mogą oczarować oczy i myśl, lecz tam, w pośrodku

tego chaosu gór, tych bloków bezkształtnych i olbrzymich, ukazujących się poprzez śniegi i lody, zdaje się człowiekowi być świadkiem Stworzenia — wszystko, co jest z człowieka, niknie, rozwiewa się; ledwie dostrzeżesz parę lekkich śladów miast, które zdają się być ledwie naznaczone ręką losu do istnienia przez dzień jeden; wszystko zapowiada tę chwilę i spieszysz się zejść by nie być objętym przez wielkie ruchy, które się gotują. Opuściliśmy więc ten jedyny w świecie belweder i przed 6 wieczór przybyliśmy pod Grands Mulets. Radość z powodzenia naszego przedsięwzięcia kazała nam wszystko znajdować czarującym; wyjście na Mont Blanc było zabawką w porównaniu ze smutną i straszną Aiguille du Midi; nazajutrz dumnie zeszedliśmy do Chamonix. Tam znalazłem Pańskiego przyjaciela, kapitana Bazila Hall, autora bardzo interesującej podróży do Chin, która właśnie się ukazała; żałował on żywo, że nie był z nami, gdyż chciał również wyjść na Mont Blanc i wskazał mi kilka ważnych obserwacji, jakich zamierzał tam dokonać.

Oto, Panie, sprawozdanie, jakiego Pan sobie ode mnie życzył. Ciekawość, przyjemność robienia rzeczy, jakich nie robi się codziennie, poprowadziły mnie na wasze góry, zachowam z nich wspomnienie bardzo przyjemne a także ze sposobności jakiej mi dostarczyły — poznania Pana.

A. M.

★

Do swojego przeżycia alpejskiego powraca Malczewski raz jeszcze: w przypisku do wierszy 231/232 „Marii“. Czy i w jakim stopniu wyprawa Malczewskiego wpłynęła na scenę w „Kordianie“ Słowackiego, nie wiem.

Wiem natomiast, że w literaturze alpinistycznej francuskiej Malczewski jest znany jako alpinista, nie jako poeta romantyczny i piewca stepu.

Ciekawe też, że na przeszło pół wieku przed „odkryciem Tatr“ Polacy odkrywali Alpy, że Malczewski przy ognisku na górskim biwaku słuchał gadek góralskich alpejskich na długie dziesiątki lat zanim podobnych gadek przy podobnym ognisku (z kosówki jednak nie z rododendronów) słuchać miał Tetmajer. Co prawda nie tylko Polacy. W rok po Malczewskim wyszło na Mont Blanc dwóch Amerykanów; o Rocky Mountains nikomu się jeszcze wtedy nie śniło w Stanach Zjednoczonych. Z dużych narodów europejskich natomiast najpóźniej na Mont Blanc pojawili się Francuzi. Ostatecznie Mont Blanc jest wspólnym dobrem naszej cywilizacji, kolebką prądu kulturalnego. Bez Mont Blanc nie byłoby ani Zamarłej Turni ani Mount Everestu.

Wojciech Wasiutyński

ZESZYTY STUDIUM POLITYCZNEGO SN

M. Pawlikowskiego „Co to jest naród“

L. Kownackiego „Demokratyczne ustroje państwowe“

I. Człowiekowskiego „Katolicka doktryna społeczna“

S. Skrzypka „Sprawa ukraińska“

Do nabycia w Sekretariacie SN: 8, Alma Terrace, Allen Street, London, W. 8

Cena zeszytu 1 szyling

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

WOJCIECH TRĄMPCZYŃSKI

Dnia 2 września zakończył życie w Poznaniu Wojciech Trąmpczyński, pierwszy marszałek sejmu i pierwszy marszałek senatu Rzeczypospolitej, przeżywszy lat 93.

Trąmpczyński był jedną z tych postaci, które pozostają w pamięci narodu. Z wykształcenia i zamiłowania prawnik, całe życie był obrońcą praworządności. Urodzony mówca, miał wysoką kulturę przemawiania i debатовania. Człowiek z usposobienia niezależny, pozostał wierny przez dziesiątki lat swoim poglądom narodowym.

Wojciech Trąmpczyński urodził się 8 lutego 1860 r. w Dębowie pod Gniezmem w rodzinie ziemiańskiej. Do szkół chodził w Trzemesznie i Poznaniu, gdzie ukończył gimnazjum Marii Magdaleny w r. 1877. Studiował prawo w Berlinie i Wrocławiu. W r. 1886 osiedlił się jako adwokat w Poznaniu. Wkrótce dał się poznać jako obrońca praw polskich w walce z nadużyciami administracji i naciskiem hakatyzmu. W r. 1900 zostaje wybrany z listy polskiej do rady miejskiej m. Poznania. W r. 1907 publikuje broszurę „Recht muss Recht bleiben“ — przeciwko ustawom wywłaszczeniowym.

W r. 1910 wybrany zostaje posłem do sejmu pruskiego i zyskuje sobie opinię jednego z wybitniejszych parlamentarzystów. W r. 1911 wchodzi również do parlamentu Rzeszy. Oba mandaty piastuje aż do upadku cesarstwa niemieckiego.

W r. 1912 bierze udział w zjeździe polityków polskich kierunku narodowego wszystkich trzech zaborów w Pieniakach, odbywającym się pod przewodnictwem Dmowskiego dla ustalenia działania rządu polskiego na wypadek wojny europejskiej.

W okresie wojennym Trąmpczyński z trybuny parlamentarnej berliń-

skiej demaskuje obłudę polityki niemieckiej wobec Polaków. Broni milionów robotników polskich wywiezionych na roboty do Niemiec i wyzyskiwanych bezlitośnie. Wydaje także dwa memoriały przeciwko gospodarce niemieckiej na okupowanych ziemiach polskich.

Wchodzi do sejmu konstytucyjnego i 14 lutego 1919 r. obrany zostaje jego marszałkiem. Rola marszałka konstytuanta była bardzo duża. Spełniał ją z godnością i wielką dbałością o praworządność. W wyborach do drugiego sejmu w r. 1922 kandyduje do senatu z listy narodowej. Wybrany zostaje marszałkiem senatu i sprawuje ten urząd do końca kadencji.

Przed końcem tej kadencji następuje zamach majowy. Trąmpczyński piętnuje łamanie prawa i następne lata poświęca głównie na walkę z nadużyciami. W wyborach r. 1927 kandyduje znowu do sejmu, nie senatu, z listy narodowej. Kiedy po r. 1935 przestaje istnieć parlamentaryzm w Polsce, Trąmpczyński wówczas już zbliżający się pod osiemdziesiątkę, wycofuje się do życia prywatnego.

Koniec życia miał ciężki. Najazd niemiecki pozbawił go domu. Po strasznych latach wojny przyszło nie wyzwolenie, ale okupacja sowiecka. Chciał jeszcze walczyć z niepojętym dla swego europejskiego umysłu zjawiskiem bolszewizmu. Napisał nawet memoriał do Bieruta w obronie prawa z napiętnowaniem nadużyć i zbrodni. Dokument z innej epoki...

Starzec z bujnym siwym włosom, mający w sobie coś lwiego, a zarazem i ujmująco bezpośredniego, ostatni polski trybun wieku dziewiętnastego zeszedł do grobu na rodzinnej ziemi wielkopolskiej, której nigdy na dłużej nie opuszczał.

kim kierunku idzie w świat inspiracja bolszewicka.

Komunistyczny autor zarzuca Komitetowi Narodowemu to, czemu właśnie winni są komuniści. A mianowicie służbę interesom obcym na szkodę własnego narodu. Być może, że w stosunku do Laptera zarzut ten należałoby złagodzić, gdyż właściwie nie wiadomo czy w czasach normalnych był on obywatelem polskim, czy czechosłowackim. Nie jest również pewne czy działał on w Polsce na szkodę swojego własnego narodu.

Artykuł w „Sprawach Międzynarodowych“ oparty jest na następujących źródłach: H. H. Fisher: America and the New Poland, New York 1928; Lansing Papers, 1914-1920, najwiśdziej praca Roberta Lansinga, sekretarza stanu przy prezydencie Wilsonie, bezwzględnie opublikowana w Ameryce; Foreign Relations of the US, uzupełnienie II, tom II, najwiśdziej oficjalna publikacja amerykańska; Roman Dmowski, Pisma, tom V; oraz protokoły Komitetu Narodowego Polskiego nr 46, 51, 64, 92, 117, z dat między 14.11.1917 i 8.6.1918. Co się tyczy tej ostatniej pozycji, artykuł nie wskazuje gdzie protokoły, o których mowa się znajdują. Przed wojną były one przechowywane w archiwum ambasady polskiej w Paryżu.

W artykule owym Lapter stara się przeprowadzić swoją tezę w ten sposób, że interpretuje fakty po swojemu. Referuje on pomysł Lansinga z czerwca 1917 r. o powołaniu do życia na terenie Stanów Zjednoczonych Polskiego Rządu Tymczasowego, na który naturalnie rząd amerykański chciał mieć znaczny wpływ. Jest to zrozumiałe z punktu widzenia każdego mocarstwa i rzeczą członków takiego rządu na wygnaniu jest nie dopuścić do stania się instrumentem polityki (bcei i wykraczania poza ramy sojuszu. Najłatwiej utrzymać samodzielność w takiej sytuacji jest wobec mocarstwa demokratycznego, najtrudniej wobec despotycznego.

Wedle biegu wydarzeń przedstawionego przez Laptera, Stany Zjednoczone dały się ubiec porozumieniu anglofrancuskiemu, które nie czekało na Amerykę samo uznało Komitet Narodowy z Dmowskim jako prezesem, powołany do życia w sierpniu 1917 r. Ameryka próbowała jakoby przeciwstawić się wpływowi angielskim i francuskim na sprawę polską i Komitet Narodowy, przez porozumienie się z Rządem Tymczasowym rosyjskim. Wkrótce jednak sprawa stała się nieaktualna, gdyż Rząd Tymczasowy został obalony przez bolszewików. Wtedy też Ameryka uznała Komitet Narodowy, starając się uzyskać na niego wpływ przez swoich obywateli po-

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

DROGI BOLSZEWICKIEJ INSPIRACJI

W miesięczniku „Sprawy Międzynarodowe“ (Warszawa, 1953 r., nr 3) ukazał się artykuł autora komunistycznego, czynnego w czasie wojny w Londynie wśród emigracji przede wszystkim czechosłowackiej, a dopiero potem polskiej, Karola Laptera pt. „Plan utworzenia rządu polskiego w USA“. Artykuł ma charakter krótkiego szkicu historycznego, oczywiście podfałszowanego, jak zwykle bywa z komunistycznymi elaboratami. Lapter naj-

widoczniej zatrudniony jest obecnie w jakimś instytucie historycznym, utrzymywany przez komunistów w Warszawie w celu fałszowania najnowszej historii Polski. Artykuł dotyczy działalności Komitetu Narodowego Polskiego w latach 1917-18 w Europie zachodniej oraz w Ameryce. Jest on znamieny, gdyż wskazuje na wagę, jaką przywiązuje do kompromitowania obozu narodowego polskiego komunistyczna kuźnia fałszu i w ja-

chodzenia polskiego, a m.i. dr Fronczaka z Buffalo, członka Komitetu.

Lapter udaje, że nie może zrozumieć, jak Polacy orientacji Komitetu Narodowego mogli nie uważać za zdrajców, Polaków wyznających inną orientację. To go skłania do snucia karkołomnych wniosków, których treścią jest, że w ogóle Komitetowi Narodowemu nie chodziło o realizację celów polskich, lecz o służbę obcym interesom.

W jednym jednak miejscu swoich wywodów Lapter zagalopował się i powiedział więcej może, niż zamierzał. Zacytujmy komunistycznego autora:

„W kilka dni później, dnia 8 grudnia, opowiada członek Komitetu Horodyski o rozmowie, jaką przeprowadził z pewnym agentem wywiadu, który wrócił właśnie z Rosji, gdzie widział się z Muśnickim. Agent amerykański proponował Muśnickiemu, aby ogłosił się w Mińsku dyktatorem i utworzył tam właśnie państwo polskie. Horodyski informuje, że ma również zamiar pojechać na kilka dni do Rosji „za paszportem amerykańskim“. Wy-

wołuje to cierpką uwagę Dmowskiego, który nie lubiał, ażeby wywiad anglo-amerykański dysponował „jego ludźmi“ bez jego zgody...“

(następuje cytat z Protokołu Komitetu Narodowego, nr 64 z 8 grudnia 1917 r.) „...obawia się (Dmowski) jego dwójstej roli przez to, że musi tam występować nie tylko jako Polak, lecz spełnić, co mu każe Anglia i Ameryka ... Doświadczenie uczy — dodaje Dmowski, że istotną regułą dla Anglii i Ameryki jest wyzyskać wszystkich, a więc i Polskę, ale nic jej nie dać. Chcą oni wygrać wojnę z Niemcami, ale ewentualnie Polskę osadzić na lodzie“.

Lapter chce ubić dwa zające jednym strzałem: i oczernić Dmowskiego jako rzekomego agenta obcych potęg, i użyć autorytetu Dmowskiego przeciw nadziejom jakie społeczeństwo polskie w kraju żywi wobec mocarstw zachodnich. W jednym i drugim twierdzeniu mija się z prawdą. Dmowski był politykiem polskim, który dbał o interes swojego narodu i stawiał ten interes ponad wszystko inne w polityce.

M. R.

AMERYKANKA O POLAKACH

Ann Bridge: A PLACE TO STAND. A novel. Chatto & Windus. Londyn 1953. Stron 287.

Ann Bridge jest powieściopisarką angielską o zasłużonej popularności. Ma w dorobku około 10 powieści znajdujących zawsze wielu chętnych czytelników. Ann Bridge nie jest modernistką, nie jest nowatorką, twórczość jej ujęta jest w ramy spokojne i konwencjonalne. Bohaterowie i bohaterki jej powieści są ludźmi normalnymi z przewagą cech dodatnich. Miewają przygody romantyczne, różne powikłania życiowe, przechodzą próby nieraz ciężkie, wszystko jednak zwykle kończy się dobrze, bohaterowie nabywają kapitał cennego doświadczenia, dojrzewają wewnętrznie, szlachetnieją. Akcja w jej powieściach toczy się wartko, rzucona jest często na tło obcych krajów, kontrasty wydobyte są umiejętnie, uwaga czytelnika trzymana jest ciągle w napięciu. Nie ma jej w powieściach dłuższymi, partii nudnych i niepotrzebnych. Ann Bridge ma technikę pisarską pierwszorzędną, zdolność kreślenia charakterów przekonywającą, umiar artystyczny przy jednoczesnej umiejętności napełniania swych powieści dużym ładunkiem emocjonalnym.

Ostatnia jej powieść „A Place to Stand“, to kartka z życia bogatej młodej Amerykanki Hope Kirkland, która wiosną 1941 r. zaplątała się w koła podziemia politycznego w Budapeszcie,

twia uzyskanie różnych papierów potrzebnych do wyjazdu. W oczekiwaniu przesyłki z Polski od rządu podziemnego wyjazd zostaje opóźniony.

Pętla zaczyna się zaciskać dookoła Morańskich z chwilą wkroczenia wojsk niemieckich na Węgry w drodze do opornej Jugosławii. Fakt ten jest równocześnie sygnałem dla Kirklandów do opuszczenia Budapesztu. Cała rodzina wyjeżdża na południe przez Belgrad. Zaalarmowana widokiem łapanek Polaków przez żołdaków niemieckich tuż za Budapesztem Hope Kirkland wysiada po kryjomu z pociągu na pierwszym przystanku i wynajętym samochodem wraca do Budapesztu, by ostrzec swych przyjaciół polskich i dopomóc im do ucieczki. Trafia do mieszkanka Morańskich na moment agonii matki, sprowadza księdza Polaka, który jest oczekiwany z dawną emisariuszem z kraju. Dzięki swym papierom amerykańskim i podobieństwu z Litką umożliwia ucieczkę tej ostatniej wraz z bratem, narzeczonym i cennym mikrofilmem z Polski. Dostaje się jednak w ręce tajnej policji, która w przekonaniu, że ma do czynienia z Litką Morańską traktuje ją z całą brutalnością. Interwencja amerykańskiego konsula przynosi uwolnienie i powrót do rodziców i narzeczonego, powrót do życia normalnego, koniec wielkiej przygody. Koniec również miłości — delikatnej, smutnej i beznadziejnej, zakwitłej w duszy dwojga młodych — Hope i Stefana Morańskiego.

Powieść Ann Bridge zawiera wiele momentów szczerze wzruszających, szczególnie dla czytelnika polskiego. Pomimo lekkiego retuszu idealizującego Polacy reprezentują typy autentyczne. Nasze cechy narodowe ujawniają się w sytuacjach przedstawionych w książce odpowiadają rzeczywistości. Epopeja (jeśli to nie za górne określenie) czasowego wychodźstwa polskiego na Węgrzech znalazła w książce wierne i pełne sympatii odbicie. Autorka dobrze orientuje się nie tylko w psychologii narodu polskiego, ale i innych — Węgrów, Jugosłowian i Czechów.

Książka zasługuje na udostępnienie czytelnikowi polskiemu.

WSKAZANIA PROGRAMOWE „STRONNICTWO NARODOWE W WALCE O POLSKĘ”

Książka-sprawozdanie ze Zjazdów Stronnictwa w Londynie i Paryżu
Na składzie pozostała już niewielka ilość egzemplarzy

Stron 102

Cena 2 s

Do nabycia w Administracji „Myśli Polskiej“

PRYWATNE ŻYCIE MUSSOLINIEGO

Paolo Monelli: MUSSOLINI. An Intimate Life. Thames and Hudson. Londyn 1953. Stron 304.

Monelli jest dziennikarzem i jakkolewiek cytuje liczne źródła, jego biografia Mussoliniego ma na sobie piętno rozszerzonego do 300 przeszło stronic pamfletu dziennikarskiego. Trzeba wprawdzie przyznać, że podtytuł — Życie intymne — stawia od razu rzecz na pewnym poziomie i orientuje czytelnika w zamierzeniach autora, jednak po odłożeniu przeczytanej książki budzą się wątpliwości czy autor na prawdę był powołany do roli historyka. Wśród dziennikarzy są różne gradacje. Monelli chyba nie zaliczał się do pisarzy artykułów wstępnych, lecz raczej do reporterów i to do reporterów goniących za dość tanią sensacją.

Ta biografia Mussoliniego jest przede wszystkim dość nieprawdopodobna, musi zawierać spore luki. Nie tłumaczy ona jak Mussolini osiągnął władzę, jakie wyzwoliły siły społeczne i organizacyjne, jakimi sposobami i dzięki jakim właściwościom duchowym doszedł do roli przywódcy ruchu politycznego, który w życiu narodowym Włoch odegrał przeciwko poważną rolę i którego ryczałtowo i bez zastrzeżeń potępić niesposób.

Mussolini w okresie poprzedzającym „marsz na Rzym“ przedstawiony jest jako człowiek pełen wahań, nie zdecydowany, raczej przeciwnik akcji bezpośredniej i ulegający dołom organizacyjnym. Jak taki człowiek przez dwadzieścia następnych lat mógł znajdować bezwzględny posłuch w szeregach faszystowskich, trudno zaiste zrozumieć.

Wydawnictwa SPK

E. Oppman, płk dypl. H. Piątkowski, gen. T. Pełczyński:

„NA ŚWIĘTO ŻOŁNIERZA“

— opracowania o wojnie polsko-sowieckiej 1920 r. oraz o udziale Polaków w 2 wojnie światowej zagranicą i w kraju

Cena 2/-, porto 3 d.

Do nabycia: SPK, 18, Queens Gate Terrace, London, S.W.7 i wszystkie księgarnie polskie

J. LECHNO

„W służbie narodowi“

Treściwa informacja o założeniach, historii i wskazaniach polskiego ruchu narodowego

Do nabycia w Administracji „Myśli Polskiej“
Cena tylko 1 s

Ani jako studium psychologiczne, ani jako studium polityczne książka Monelliego nie przedstawia się poważnie.

Przedmiot tej biografii jest człowiekiem pełnym sprzeczności. Nie ma w nim nic z męża stanu, przywódcy mas, zręcznego polityka. Jest to typ irracjonalny, zmienny, dający na siebie wpływać otoczeniu. Człowiek gwałtowny, wybuchowy, nieobliczalny. Raczej dziecko natury, dające się ponosić swym instynktom i przeważnie poziomym skłonnościom. Pokład starej kultury latyńskiej jaki inni pisarze w nim dostrzegali, w oczach Monelliego sprowadza się do bufonady i do powierzchownego nalotu.

Znaczną część książki zapełniają opisy przegód miłosnych Mussoliniego, jego, że tak powiemy, techniki spotkań miłosnych. Autor nie szczędzi szczegółów z dokładnością wyzbytą jakichkolwiek śladów zażenowania. „Odbrazowanie“ Mussoliniego dokonane zostało gruntownie i świadomie.

Ta ostatnia biografia dyktatora włoskiego nie jest ani portretem, ani fotografią, jest nieprzekonywającą karykaturą o zacięciu satyrycznym. Historia wyda zapewne sąd surowy o Mussolinim, zwłaszcza z końcowego okresu jego kariery, gdy wbrew nawet własnemu instynktowi związał losy Włoch z losami Niemiec i gdy wskutek tego stracił swobodę ruchów i decyzji na rzecz Hitlera, silniejszego swego partnera. Niemniej bilans jego rządów zawierał obok pasywów i aktywów, których nie powinno się tak bezceremonialnie pomijać, jak to czyni Monelli.

(m. ost.)

WZNOWIENIA VERITASU

Franciszek Werfel: PIEŚŃ O BERNADECIE. Powieść w dwu tomach. Biblioteka Polska. Nakładem Veritasu. Londyn 1953. Stron 457. Cena 30/-.

Biblioteka Polska Veritasu wydaje coraz więcej książek popularnych. Ostatnio w serii czerwonej (powieściowej) wyszedł przekład słynnej powieści Werfla o św. Bernadecie Soubirous. Powieść ta była już tłumaczona na polski i wydana w kraju w pierwszych latach po wojnie, na emigracji jednak była trudno dostępna. Wydanie Veritasu udostępnia ją każdemu.

Obwolutę rysował Adam Kossowski.

★

Wanda Miłaszewska: BOGACTWO. Powieść. Nakładem Veritasu. Londyn 1953. Str. 229. Cena 12/6.

Pełna wdzięku, dziś już prawie staroświeckiego, powieść autorki tak popularnej przed ćwierćwieczem, stanowi wciąż miłą i lekką lekturę. „Gazeta Niedzielną“ drukowała ją w odcinku, a obecnie Veritas wydał w całości broszurowanej. Wznowienie to powinno mieć powodzenie.

Z ŻYCIA POLITYCZNEGO I SPOŁECZNEGO

KONGRES O KATYNIU

Przewodniczący Przedstawicielstwa Rady Politycznej w Stanach Zjednoczonych p. S. Korboński i sekretarz p. A. Niebieszczański złożyli w Waszyngtonie wizyty kilku członkom komisji spraw zagranicznych Izby Reprezentantów, pytając o przyczyny zwłoki w uchwaleniu projektu rezolucji specjalnej komisji dla zbadania zbrodni katyńskiej.

Z wyjaśnień posłów wynikało, że nie było odrębnego głosowania nad rezolucją katyńską. Komisja uchwaliła jedynie porządek dzienny na sesję bieżącą, to jest do końca lipca. Porządek nie przewidywał rozpatrywania rezolucji katyńskiej i dlatego czterech członków komisji, w tym obaj demokraci pochodzenia polskiego Tomasz Gordon z Illinois i Klemens Zablocki z Wisconsin, głosowało przeciw takiemu porządkowi obrad. Asystent sekretarza stanu do łączności z Kongresem, p. Thurston Morton wyraził opinię, że uchwalanie rezolucji katyńskiej „w obecnym czasie miałyby się z celem“. Komisja zwróciła się o dodatkowe wyjaśnienia do ambasadora Henry Cabot Lodge'a, delegata Ameryki w Narodach Zjednoczonych. Opinia amb. Lodge'a szła w tym kierunku, że podjęcie sprawy Katynia na forum Narodów Zjednoczonych winno być skoordynowane z uchwaleniem rezolucji przez Kongres. Ponieważ w najbliższym okresie nie ma możliwości wniesienia sprawy na porządek dzienny Narodów Zjednoczonych, Kongres powinien zacząć z uchwaleniem rezolucji do bardziej odpowiedniej chwili. Członkowie komisji zapewniali przedstawicieli Rady Politycznej, że zwłoka w debatowaniu i uchwaleniu rezolucji katyńskiej jest tymczasowa.

ZALEGANIE

Z PRENUMERATĄ
POWODUJE
WSTRZYMANIE
WYSYŁKI

ZEBRANIA I ODCZYTY

P. Józef Płoski mówił o „Pierwiastkach katolickich w kulturze polskiej“ dnia 2 sierpnia w Bradfordzie na zebraniu urządzonym przez miejscowe Koło SPK. Po odczycie prelegent odpowiadał na liczne zapytania. Przewodniczył zebraniu prezes Koła p. Z. Wyszecki, obecnych było kilkadziesiąt osób.

★

P. Józef Werner zaproszony przez Radę polskiego osiedla w Melton Mowbray, wygłosił w dniu 16 sierpnia w miejscowej świetlicy odczyt pt. „Sytuacja polityczna w Polsce ujarzmionej“. Na zebraniu było obecnych około 150 osób.

★

P. Henryk Archutowski przemawiał na temat znaczenia święta żołnierza w dniu 16 sierpnia w polskim osiedlu Lubenham, Market Harborough. Zebranie zostało zorganizowane staraniem komisji kulturalno-oświatowej osiedla.

★

Plk F. Arciszewski przemawiał na akademii Święta Żołnierza w Wolverhampton urządzonej przez miejscowe Koło SPK w dniu 23 sierpnia.

★

W Plymouth w dniu 30 sierpnia odbyło się zebranie Koła Stronnictwa Narodowego z referatem politycznym p. J. Rożdżyńskiego z Londynu. Następnie nowoprzyjęci członkowie złożyli ślubowanie. Zebraniu przewodniczył

kierownik Koła p. E. Chadaj. Po zebraniu odbył się wspólny obiad koleżeński.

★

W Huddersfieldzie w dniu 6 września urządzona została konferencja organizacyjna kierowników Kół Stronnictwa Narodowego z okręgu Yorkshire. Konferencji przewodniczył kierownik Koła SN w Huddersfieldzie p. L. Kowalski. Referaty organizacyjny i polityczny wygłosił członek Wydziału Wykonawczego SN w Wielkiej Brytanii p. J. Rożdżyński.

LISTY DO REDAKCJI

W RAMACH KOMPROMISU

Szanowny Panie Redaktorze,

Notatka pt. „Zjazd kombatanów“, która ukazała się w numerze 230 „Myśli Polskiej“ z dnia 1 września br., u postronnego czytelnika mogła wywołać wrażenie, że prezes Zarządu Głównego został wybrany nie na zasadzie ogólnego kompromisu.

Jako jeden z uczestników Zjazdu uważam za właściwe wyjaśnić, iż władze główne SPK zostały wybrane na zasadzie szerokiego kompromisu wszystkich ugrupowań i że w ramach tego kompromisu uzgodniono osobę prezesa Zarządu Głównego, którym został p. Stefan Soboniewski, długoletni działacz SPK.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Adam Treszka

NA MARGINESIE

MIĘDZY NAMI ŻOŁNIERZAMI

„Biuletyn Informacyjny Sekretariatu Kół Oddziałowych“ przynosi artykuł polityczny polemizujący ze stanowiskiem „ugrupowań Rady Politycznej“ w sprawie warunków zjednoczenia politycznego i kończy:

„... mamy prawo jako żołnierze zabrać głos. Są zagadnienia, w których jesteśmy i pozostaniemy bezkompromisowi. Kierujemy raz jeszcze apel do mężów politycznych, aby się opamiętali“.

My żołnierze z redakcji „Myśli Polskiej“ kierujemy apel do żołnierzy z „Biuletynu Informacyjnego“, aby się opamiętali. Są zagadnienia, w których jesteśmy i pozostaniemy bezkompromisowi, a jednym z nich jest, by wojsko było poza sporami wewnątrzpolitycznymi i by nikt swoich poglądów partyjnych nie ubierał w formę „my żołnierze“.

Ukazał się zeszyt czwarty
Studium Politycznego
Stronnictwa Narodowego
DR STANISŁAW SKRZYPEK
„SPRAWA UKRAIŃSKA“

Cena 1 szyling
Do nabycia w Sekretariacie SN
8, Alma Terrace, London, W. 8.

„LOUISE“

Szybkie i tanie
PODNOSENIE OCZEK
17, Talgarth Rd., London, W.14
Również wysyłać pocztą

„DZIATWA“

Miesięcznik dla dzieci
od lat 5 do 11
Bajka, powieść, opowiadanie, konkurs,
wiersz, zagadka
Cena 1/- wraz z przesyłką
lub równowartość w innej walucie
Adres: 18, Queen's Gate Terrace,
London, S.W. 7, England

„MYŚL POLSKA“

założona w 1941 r. w Londynie,
ukazuje się dwa razy w miesiącu.
Redakcja i administracja: 8, Alma
Terrace, Allen St., London, W. 8.
Tel. WEstern 1797. Prenumerata
półroczna 18 s lub 3 dol., roczna
£ 1.16.0 lub 6 dol. (opłata lotnicza
do USA półrocznie 1.50 dol., rocznie
3 dol.).

W ADMINISTRACJI „MYŚLI POLSKIEJ“

SĄ DO NABYCIA NASTĘPUJĄCE KSIĄŻKI

„Stronnictwo Narodowe w walce o Polskę“	2 s
Roman Dmowski „Polityka polska i odbudowanie państwa“ (2 tomy)	10 s
Wojciech Wasiutyński „Tysiąc lat polityki polskiej“	4 s
Wojciech Wasiutyński „Ruiny i fundamenty“	5 s
J. Lechno „W służbie narodowi“	1 s



Przed zrobieniem zakupu — obejrzyj i sprawdź ceny naszych towarów

SPADOCHRONY — NAJLEPSZA POMOC DO POLSKI
Materiały na ubrania, płaszcze i kostiumy, koszule męskie i bluzki damskie, pończochy nylonowe, obuwie, artykuły toaletowe i galanterijne

poleca tanio

SKLEP CENTRALI HANDLOWEJ SPK

18, Queens Gate Terrace, LONDON, S.W.7, Tel.: WES 0747 — 9

Otwarty od poniedziałku do piątku w godz. 9.30 — 6, w sobotę w godz.

9.30 — 3, w niedzielę w godz. 1 — 3.30

ZAPRASZAMY DO ODWIEDZENIA NASZEGO SKLEPU